

Andrij Kozyckij

Lwów Lema

Postscriptum nr 1(51), 41-54

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Andrij Kozyckij

Lwów Lema

Dużo wody upłynęło w podziemnej rzece Pełtwi od tych czasów, kiedy to ulicami Lwowa spacerował młody chłopiec imieniem Stanisław Lem. Wie-



Dom Lema we Lwowie (mieszkanie z balkonem)*

* Wszystkie fotografie w tym artykule są autorstwa Jolanty Tambor.

le rzeczy zniknęło od tych czasów bez śladu, coś się zatarło, a jeszcze coś tylko nadgryzł ząb czasu. Burzliwe XX stulecie dużo zmieniło we Lwowie i w całej Galicji. A jednak nadal istnieje ten Lwów, który można byłoby nazywać Lwowem jego dawnych mieszkańców, Lwowem Lema.

„Mieszkaliśmy przy ulicy Brajerowskiej, pod czwartym numerem, na drugim piętrze” (s. 12) — tak zaczyna opowieść o mieście swego dzieciństwa wybitny pisarz w książce wspomnień *Wysoki Zamek*¹. Dom i mieszkanie, w którym spędził swoje lata dziecięce i młodzieńcze Stanisław Lem, nadal istnieje. W czasach sowieckich dawne mieszkanie Lemów, które składało się z sześciu pokoiów, zostało podzielone na dwa oddzielne mieszkania. Dziś mieszkają w nich dwie osobne rodziny. Dom nadal ma mały balkon, jedyny na całe drugie piętro. Ten balkon był kiedyś miejscem zabaw przyszłego pisarza. „Kiedy było ciepło, okupowałem mały balkon kamienny, na który wychodziło się z gabinetu ojca. Przepuszczałem zeń ataki do okolicznych kamienic, bo kominy ich, dymiąc, zamieniały je w okręty wojenne. Chętnie również bywałem tam Robinsonem albo właściwie sobą na bezludnej wyspie” (s. 15). W innym miejscu swoich wspomnień Lem przytacza opowieść o tym, jak bardzo śnieżną zimą 1930 roku czekał, aż „śnieg zasypie cały nasz dom, że staną tramwaje i auta, że będzie można z balkonu drugiego piętra wyjść prosto na przekształconą w lodowcowy wąwóz ulicę” (s. 83).

Na początku XX wieku ulica Brajerowska była jedną z najmłodszych lwowskich ulic. Została wytyczona w 1880 roku na gruntach należących do E.F. Brajera, dlatego dostała taką nazwę. Rodzina Lema miała na swojej ulicy dobrych sąsiadów. W kamienicy nr 10/12 mieszkali: wybitny dyplomata i historyk Szymon Askenazy oraz znany lwowski działacz społeczny, poseł na Sejm Włodzimierz Stesłowicz, kamienicę nr 20 wybudował dla siebie szanowany we Lwowie lekarz Władysław Tatarczuch. Na rogu ulicy Brajerowskiej i Mickiewicza, w domu pod nr 10 od Mickiewicza, na przełomie XIX i XX wieku mieszkał założyciel Polskiego Towarzystwa Filologicznego i późniejszy minister oświaty Ludwik Ćwikliński. Obecnie dawna ulica Brajerowska nosi imię znanego ukraińskiego pisarza Bohdana Łepkiego.

Na swoje pierwsze w życiu spacer, oczywiście w towarzystwie rodziców, Lem wychodził zazwyczaj do Ogrodu Jezuickiego (dziś — park Iwana Franki) albo w górę ulicą Mickiewicza (obecnie — Listopadowego Czynu) w kierunku cerkwi św. Jura. W tym drugim przypadku szło się wzdłuż parku do skweru, znajdującego się na tyłach Politechniki Lwowskiej.

Jednak wyprawy do Ogrodu Jezuickiego były chyba częstsze. Pierwszy park w tym miejscu został założony przez rodzinę lwowskich patrycjusz

¹ Wszystkie cytaty pochodzą z: S. Lem, *Wysoki Zamek. Wiersze młodzieńcze*, Kraków 1975.

Szolc-Wolfowiczów jeszcze w XVI wieku. Uporządkowany w XIX wieku przez utalentowanego ogrodnika Karola Bauera, park stał się popularnym miejscem odpoczynku i spacerów. Tu urządzano festyny i zabawy, witano szanownych gości miasta, w tym parku odbyła się pierwsza Galicyjska Wystawa Przemysłowa. Ciekawostką jest fakt, że właśnie tu, jeszcze w XIX wieku zaczęła działać pierwsza we Lwowie loteria. W latach młodości Lema loterii już nie było, lecz przed wejściem do Ogrodu Jezuickiego siedział człowiek z „kołem szczęścia”, obracając które, można było wygrać coś ciekawego. W wieku szkolnym Lem kilkakrotnie próbował szczęścia, jakimś dziwnym trafem wygrywając tylko małe dwustronne lusterka i blaszane papierońnice. Ciekawe, że takie papierońnice sprzedawano we Lwowie jeszcze w latach 80. ubiegłego wieku.

W parku stoją: okrągła rotunda w stylu doryckim i budynekzek małej restauracji. Między wysokimi leszczynowymi krzakami znajdowała się tu także beka z wodą. Właśnie ona z jakiegoś powodu najbardziej utkwiała w pa-



Uniwersytet Lwowski w dawnym gmachu Sejmu Galicyjskiego

mięci przyszłemu fantazje. Lem pisał, że trzydzieści lat później przeniósł ją do opowiadania *Ogród ciemności* (s. 13). Choć park nie był zbyt wielki, Lem zdołał się raz w nim zgubić. Na szczęście, przestraszeni rodzice niemal od razu odnaleźli swoją pociechę.

Ostatni epizod już tylko na wpół dziecińczych wspomnień Lema dotyczących Ogrodu Jezuickiego pochodzi z wojennego września 1939 roku. Pisał po latach:

Podczas wrześniowego ostrzeliwania Lwowa przez Niemców biegałem po Ogródku Jezuickim, szukając gorących jeszcze szrapnelowych zegarów, w okropnym strachu, bo kanonada trwała, i rzecz nie tylko w tym, że byłem głupi, ale i w tym, że pocisk mógł zabić (s. 78).

Na szczęście skończyło się tylko wielkim strachem.

Zimą, kiedy park był zaspany śniegiem, rodzina Lemów wychodziła na spacer ulicą Marszałkowską (obecnie ulica Uniwersytecka) przed gmach byłego Sejmu Galicyjskiego, który był wzniesiony w latach 1877-1881 przez



Rzeźby przed Uniwersytetem Lwowskim (z prawej strony wejścia)

architekta Juliusza Hochbergera. Od roku 1922 w posejmowym gmachu działa Uniwersytet Lwowski. O tych przechadzkach przed uniwersytem Lem pisał:

Zadartszy głowę, mogłem oglądać ogromne półnagie postacie kamienne w osobliwych też kamiennych kapeluszach; spełniały nieruchomo swoje niepojęte funkcje: jedna siedziała, druga trzymała otwartą księgę, oparłszy ją o gołe kolano (s. 12-13).



Rzeźby przed Uniwersytem Lwowskim z lewej strony wejścia
(tu: postać z otwartą księgą)

Przyczyną zafascynowania przyszłego pisarza były dwie wielkie alegoryczne kompozycje, rozmieszczone przed pylonami gmachu z obu stron głównego wejścia do uniwersytetu: z prawej — „Praca”, z lewej — „Oświata”. Wykonał te rzeźby Teodor Rygier. Kompozycja z otwartą księgą i nagim kolaniem symbolizowała „Oświatę”. Jezdnia przed uniwersytem na początku XX wieku była wyłożona specjalną drewnianą kostką, na której kopyta koni,

zaprzężonych do przejeżdżających powozów, wydawały osobliwy dźwięk, „zupełnie jakby pod spodem kryła się jakaś wielka przestrzeń” (s. 13). Musiało się to podobać przyszłemu twórcy *Doskonałej próżni*.

Lem wspomniał kiedyś, że do czasów gimnazjalnych był raczej mało samodzielnym dzieckiem domowym i poza najbliższą okolicą bardzo słabo znał Lwów. Twierdził, że przez dłuższy czas nie ryzykował wychodzenia dalej poza ulicę, na której mieszkał, czasem wychodził na Kazimierzowską (teraz — część Gródeckiej), czy na Bernsteina (obecnie ulica Szolem-Alejchem), gdzie jego wuj Fryc miał kancelarię adwokacką. Do domu wujka Fryca na ulicy Kościuszki (jakiś 200 metrów od mieszkania Lemów na ulicy Brajerowskiej) mały Stasio chodził już tylko w asyście kogoś z rodziców. Gorliwie opowiadał, że potrafiłby zająć tam i samodzielnie, co, jak musiał wyznać, „zresztą w praktyce się nie zdarzyło” (s. 47).

Najbliższą okolicę ulicy Brajerowskiej na początku XX wieku zasiedlali lwowscy Żydzi. Wspomniane ulice Kazimierzowska i zwłaszcza Bernsteina w tych czasach były ośrodkami żydowskiego życia społecznego. Na ulicy Bernsteina pod nr 12 mieścił się Kahał Lwowskiej Gminy Żydowskiej, a naprzeciwko — pod nr 11 — teatralno-koncertowa sala Towarzystwa Rękodzielników Żydowskich „Jad Charuzim”. Obok placu Smolki, przez który Lem chodził do szkoły, znajdował się „Lwowski Berdyczów”, obszerne wspólne podwórze budynków nr 5, 7, 9 na ulicy Kołłątaja (obecnie — Mencyńskiego), na którym ciasno stały jeden przy drugim żydowskie sklepy. Na tej samej ulicy Kołłątaja w latach 30. mieszkał znany scenograf i artysta-malarz żydowskiego pochodzenia Otto Axer. Rodzina Lemów zwykle kupowała owoce w sklepie Orensteina na placu Smolki. Był to chyba najlepszy sklep owocowy w tej części miasta: „Na wystawie leżały zawsze piramidy rumianych jabłek, pomarańcze i banany z owalną nalepką, opatrzoną napisem »Fyffes«” (s. 14).

Jak wynika ze wspomnień, ulubioną cukiernią małego Lema był zakład Ludwika Zalewskiego przy ulicy Akademickiej 22 (teraz — al. Szewczenki). Pisarz namiętnie opisywał swoje wrażenia z odwiedzin tej cukierni. Cukiernia znajdowała się w całkiem innej dzielnicy miasta, więc sama wędrowka do niej musiała przysparzać dużo emocji. Chociaż od domu Lemów można było tam dostać się w jakieś 10 minut, do Zalewskiego czasem jechało się dorożką.

Największe wrażenie robiła na małym chłopcu okazała wystawa zakładu Zalewskiego:

Miałem widać dobry gust, ponieważ od tego czasu nie widziałem doprawdy nigdzie wystaw cukierniczych urządzonych z takim roz-

machem. Była to zresztą właściwie scena, oprawna w metalowe ramy, na której kilkakrotnie w roku zmieniano dekoracje, stanowiące tło dla potężnych posągów i figur alegorycznych z marcepanu. Jacyś wielcy naturaliści albo i Rubensowie cukiernictwa urzeczywistniali swoje wizje, a szczególnie już przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą działały się za szybami zakłète w masę migdałową i kakaową dziwy. Cukrowi Mikołaje powozili zaprzęgami, a z ich wózków kipiały lawiny smakołyków; na lukrowych półmiskach spoczywały szynki i ryby w galarecie, też marcepanowe z tortowym nadzieniem, przy czym te moje informacje nie mają czysto teoretycznego charakteru. Nawet plastry cytryny, przeświecające spod galarety, były udaniem cukierniczego rzeźbiarstwa. Pamiętam stąd różowych świnek z czekoladowymi oczętami, wszystkie możliwe rodzaje owoców, grzyby, wędliny, rośliny, jakieś knieje i wertepy: można było dojść do przeświadczenia, że Zalewski potrafiłby kosmos cały powtórzyć w cukrze i czekoladzie (s. 32).

Wizyta u Zalewskiego ciągnęła za sobą wydatki większe niż w zwykłej cukierni. Zwykle ciastko kosztowało u Zalewskiego aż pięć razy drożej niż gdzie indziej we Lwowie — 25 groszy, „straszny pieniądz”, jak wyznawał sam Lem po wielu latach.

W latach gimnazjalnych kulinarne preferencje Stanisława Lema trochę się zmieniły. Bardziej niż ciastka zaczęła mu smakować chałwa. Ten przysmak najczęściej kupował w kiosku pana Kawurasa, który stał na rogu placu Św. Ducha (teraz pl. Iwana Podkowy). Ten kiosk znajdował się dokładnie w pół drogi między domem Lema i gimnazjum, do którego chodził. Pan Kawuras produkował chałwę w dwu rodzajach opakowań, po 10 i 20 groszy, przy tym paczki chałwy miały geometrycznie nieporównywalne kształty, co wprowadzało małego chłopca w niemały zamęt. „Nękał mnie też problem trudny, z pogranicza geometrii brył i algebry — co się lepiej opłaca, jedna paczka za 20 czy dwie po 10 groszy?” (s. 55). Chyba tego problemu Lem i tak nie zdołał rozwiązać. Oprócz wytworów pana Kawurasa mały Lem gustował także w chałwie dwu innych producentów: Piaseckiego i Wedla. Ta ostatnia miała tylko jedną cechę ujemną — sprzedawano ją w zbyt małych, jak dla młodego lwowianina, pudłach. Wschodnie słodczyce — „rozmaite rachatlukumy, makagigi, egzotyczne nugaty, kwas chlebowy i dużo innych dobrych rzeczy” Lem kupował w cukierni „Jugosławia”, która znajdowała się obok miejskiej Opery (s. 89).

Wiele lat po tych dziecięcych przeżyciach, już w XXI wieku, w wywiadzie dla jednego z polskich dzienników, Stanisław Lem opowiedział o swoim niespodziewanym powrocie w świat lwowskiego dzieciństwa. W czasie wizyty w hipermarkecie wybitny pisarz przypadkowo trafił na półki z chałwą

w kilogramowych opakowaniach. Jak sam opowiedział, kilka razy wracał do tej półki, ale chałwy nie kupił. Nie sposób dwa razy wejść do jednej rzeki.

Przez wiele lat główną trasą codziennych wypraw młodego Lema była droga do gimnazjum i z powrotem. Wychodził do gimnazjum, jak sam wspomina, o pół do ósmej.

Szedłem przez Moniuszki, Szopena, plac Smolki z kamiennym Smolką pośrodku, Jagiellońską, mijając kino „Marysienka”, ku ulicy Legionów. W głębi, z lewej strony, majaczyła perspektywa teatru, lecz jak latarnia morska żeglarza, wabił mnie budynek daleko mniej okazały, stojący na rogu placu Ducha — kiosk z wytworami pana Kawurasa. [...] Kiedy nie miałem ani grosza przy duszy, szedłem raczej obok tak zwanej kawiarni „Wiedeńskiej”, może aby widok tłustych murów chałwy za szybką kiosku nie ranił mi serca. Przy kawiarni znajdował się pierwszy punkt orientacyjny, zegar elektryczny, następny był w Rynku, wysoko na wieży ratuszowej. Wyjawiały, czy można jeszcze stanąć przy jakim oknie sklepowym, czy też koniecznie trzeba już wyciągać nogi. [...] Dalsza droga wiodła w poprzek Rynku, pod ogromnym pudłem magistralnym, z wieżą Ratusza, obok studni z Neptunem i lwów



Gimnazjum, do którego uczęszczał S. Lem

kamiennie kucających u bramy, przez ciasną ulicę Ruską na Podwale, gdzie stał dwupiętrowy, otoczony drzewami, budynek gimnazjalny (s. 54-55).

Gimnazjum, w którym uczył się Lem, nazywano we Lwowie niemieckim, ponieważ zostało założone jeszcze w 1818 roku i przez długi czas zajęcia prowadzono tam w języku niemieckim. Budynek szkolny został wzniesiony w 1809 roku, w czasach austriackich mieściło się tu II Wyższe Gimnazjum Miejskie, w okresie międzywojennym nosiło imię Karola Szajnochy i kilkakrotnie zmieniano numer. Obecnie znajduje się tu Szkoła Średnia nr 8. Uczniami tego gimnazjum byli: polski pisarz, autor bardzo nastrojowych wspomnień *Ułamki sfilczonego lustra*, Lew Kaltenberg, dyrektor lwowskiej rozgłośni radiowej Juliusz Petry, artysta malarz Stanisław Matusiak. Ze znanych działaczy kultury ukraińskiej uczyli się tu Markijan Szaszekiewicz — jeden z pierwszych pisarzy galicyjskich, który zaczął pisać we współczesnym języku ukraińskim, oraz Ilko Łemko, znany współczesny muzyk i literat lwowski.

Ulubionym miejscem odpoczynku uczniów gimnazjum, do którego uczęszczał Lem, był Wysoki Zamek. Z właściwego zamku już w czasach mło-



Podjeście pod Wysoki Zamek

dości Lema pozostał tylko kawałek muru, i nazwa tego miejsca była chyba piękniejsza od samej starej ruiny. Na Zamek, gdzie można było spotkać swoich nauczycieli, wybierano się wyłącznie w legalnie wolnym od zajęć czasie. Wagarować chodziło się na wzgórze Kaiserwaldu i Górę Piaskową, gdzie wąwozy i krzaki pozwalały się schować przed oczami wychowawców. Lem pisał, że na Kaiserwald czasem też zabierał uczniów nauczyciel botaniki Noskiewicz. W czasie tych wycieczek przyszły pisarz musiał klasyfikować napotkane rośliny, co sprawiało mu niemały kłopot: „Przy klasyfikowaniu z kluczem Rostafińskiego w ręku, trawy i bodiaki zmieniały się mi nieomal w rododendrony” (s. 60). W innym zaś miejscu swoich wspomnień napisał, że był posłusznym uczniem, raczej nie uciekał z zajęć i dlatego — jak pisał:

okoliczne tereny poznałem potem lepiej jeszcze zimą, na nartach, a także jako junak Przystosobienia Wojskowego; pełne były wykrotów, wąwozów, wzgórz, ale najpiękniejszy widok roztaczał się z Kopca Unii Lubelskiej (s. 70).

Drugim miejscem, które stale przyciągało chyba wszystkich chłopców ówczesnego Lwowa, był plac Targów Wschodnich. Chodzono tam „hurmag”,



Ruiny Wysokiego Zamku

aby zbierać po pawilonach bezpłatne druki reklamowe i częstować się darmowymi próbkami różnorodnych reklamowanych tam przysmaków. Najłatwiej było dostać kubek gorącego rosolu Maggiego. Jak wspominał Lem, kierownik stoiska tej pocziwej firmy czasem musiał nawet odpędzać lwowską młodzież szkolną od swego stoiska (s. 69).

Plac Targów Wschodnich znajdował się we wschodniej części parku Stryjskiego, który sam z siebie także był dużą atrakcją.

Było tam jezioro o kształcie ósemki, a z prawej strony otwierała się alejka, wiodąca na koniec świata. Może dlatego, że nigdy tamtędy się nie chodziło, nie wiem. Może mi ktoś to powiedział. Ale chyba sam to wymyśliłem i nawet dość długo skłonny byłem w to wierzyć (s. 13)

— pisał Lem. Park Stryjski doskonale nadawał się do zabaw:

miał topografię zawiłą... zimą i latem królowała nad nim wieża Baczewskiego, czworoboczna, cała obłożona rzędami kolorowych pełnych butelek. Byłem ciekaw, czy tam jest prawdziwy likier, czy tylko kolorowa woda, ale nikt tego nie wiedział (s. 13).

Wieża Baczewskiego, wyłożona w celach reklamowych butelkami, miała reklamować produkcję znajdującą się na Zamarstynowie fabryki wódek i likierów J.A. Baczewskiego.

Wspominając o placu Targów Wschodnich, Lem zaznaczył, że lubił tam przychodzić w tym czasie, kiedy ów teren stał pusty i bezludny.

Dziwne były wtedy wielkie hale o zbrudzonych szybach, a szczególnym miejscem stało się dla mnie wielkie zakole, utworzone przez najdłuższy, półokrągły pawilon, który obejmował połowę łuku pawilon Baczewskiego (ten wykładany butelkami likierów). Kiedy stałem się pod wieżą Baczewskiego, można było obudzić echo śpiące w przestrzeni; klaśniecie w dłonie, jeżeli dość silne, powtarzało się cztery, pięć, a nawet sześć razy, podobnie jak każdy okrzyk. A przy tym niezwykle dużo jakby czasu upływało między tymi coraz to słabszymi i słabszymi powrotami głosu, który zdawał się zamierać, przybывая z coraz większej odległości, z coraz większym trudem; stałem tam w chłodnych dniach pogodnej jesieni, skwapliwie nasłuchując ostatnich, agonalnych już odzywek echa, w których było coś przejmującego, tajemniczego i zarazem fascynującego żalostnego; wiedziałem, rozumie się, na czym polega mechanizm powrotów odbijającej się fali dźwiękowej, ale nie miało to nic wspólnego ze szczególnym urokiem owego miejsca (s. 89-90).

Dodatkowym powodem do tego, aby chodzić do Parku Stryjskiego było to, że — jak pisał:

za terenem Targów Wschodnich rozpościerało się jedno z najpiękniejszych dla mnie miejsc świata — Wesołe Miasteczko. Były tam karuzele, kolejka górską, pałac duchów, beczka śmiechu i atrakcje ciekawsze nawet. Na przykład skórzany bałwanek, którego waliło się w gębę, a siłomierz od razu pokazywał w odpowiednich stopniach potęgę ciosu. Albo cyrk pcheł, gdzie ciągnęły one, chcąc nie chcąc, miniaturowe powozy i karety. Albo tajemnicze kioski i gabinety; w jednym, kiedy wszedłem tam z ojcem, rozbierała się niezwykle tęga pani, nie w celach strip-teasowych, ale by ukazać nam bogactwo fenomenalnych tatuaży, jakie ją zdobiły. Przy demonstrowaniu ciekawych scen na brzuchu ojciec zaniepokoił się, a kiedy przeszła dalej, zdążyłem obejrzeć ledwo rąbek jakiegoś oryginalnego pejzażu, ponieważ siłą wyciągnął mnie za drzwi (s. 88-89).

Największe zainteresowanie małych chłopców przyciągało stoisko, w którym można było wygrać różnego rodzaju smakołyki. Za barierką stał tam duży niski stół, na którym leżały czekolady, pudełka z cukierkami, solidne bombonierki. Sens gry polegał na tym, że w kierunku tego stołu należało rzucić monetę w ten sposób, aby spadła na jakieś pudełko i zatrzymała się na nim. W tym wypadku pudełko stawało się wygraną szczęśliwego gracza. Niestety wszystkie leżące na stole większe pudełka miały lekko wypukłe pokrywki, na dodatek oklejone bardzo śliskim celofanem, co w rezultacie powodowało ześlizgiwanie się monety. Lem postanowił wygrać największe pudełko cukierków. W tym celu poczynił pewne przygotowania:

Sporządziłem sobie w domu, z rozłożonych na podłodze książek i piórników, poligon doświadczalny i nauczyłem się po niedługim czasie rzucać monetą tak, żeby wznosząc się najpierw w górę, padała potem zupełnie pionowo i martwo, bez tendencji do bocznych poślizgów. Potem spokojnie udałem się do Wesołego Miasteczka. Jakoż wygrałem wielką bombonierkę, ale prawie natychmiast zbliżył się do mnie z boku jakiś mężczyzna o imponujących barach i syknął mi do ucha „zmiataj, gówniarzu”. Zastosowałem się rozsądnie do tej prośby (s. 89).

Niestety, końcówka tej historii nie była happy endem: skamieniała z powodu upływu czasu zawartość bombonierki okazała się całkiem niejadalna, więc pomysłowy Stasio nie skorzystał ze swej wprawy w rzucaniu pieniędzmi.

Dość wcześnie, jak na swoje lata, Lem zapoznał się ze sztuką filmową. Blisko jego domu, na placu Smolki, od 1912 roku działało kino „Marysieńka”.

Bardzo go nie lubiłem, ponieważ chodziłem tam z matką, kiedy, zdaje się, nie miała co ze mną począć. Tego, co się działo na ekranie, nie rozumiałem. Strasznie mnie to nudziło. Kończyło się nie-raz tak, że powolutku, ukradkiem zsuwałem się z fotela i zaczynałem na czworakach penetrować chłodne poblize ziemi, łącząc między nogami ludzi, lecz i to też szybko się przykrzyło. Musiałem więc czekać, aż się film skończy. Panowie i panie na płótnie otwierali i zamykali usta, nie wydawając głosu, przygrywała tylko muzyczka. Zrazu fortepianowa, później chyba z gramofonowych płyt (s. 14).

Obecnie w byłym kinie „Marysieńka” działa ukraiński Lwowski Teatr „Woskresinnia”. Jako młodzieniec Lem częściej uczęszczał do kina w towarzystwie ojca. Jak sam wyznaje, miał wtedy „dość okrutny zwyczaj poszturchiwania ojca łokciem w kinie podczas scen co silniejszych”, a już na fil-



Opera

mach o King Kongu, Mumii czy Frankensteinie „niepohamowanie tłułem go omal bez przerwy; zakazy nie skutkowały, było to silniejsze ode mnie” (s. 81). W latach 30. we Lwowie działały przedstawicielstwa największych wytwórni filmowych świata: „Fox-Film” na ulicy Jagiellońskiej 20, „Metro-Goldwyn-Meyer” na ulicy Kopernika 11, „Paramount-Picture” z początku na ulicy Kilińskiego 3, potem na placu Mickiewicza 5. W związku z tym droga nowych filmów do lwowskich widzów bardzo się skracała. Niestety, obecnie Lwów nie może się pochwalić obecnością przedstawicielstwa żadnej ze światowych wytwórni filmowych.

Lem wyznał, „że jak każde lwowskie dziecko” chodził co jakiś czas do Panoramy Raclawickiej, która w tych czasach znajdowała się we Lwowie w parku Stryjskim.

Najpierw samo już wejście nastrajało podniosłe i niezwykle, ponieważ przechodziło się przez strefę półmroku i po schodkach wydostawało na pomost, który kojarzył mi się nieodparcie z gondolą bardzo wielkiego, zawieszzonego nieruchomo balonu. Z tego pomostu oglądało się panoramę bitwy jak żywą, przy czym wiele sporów obudził problem, w którym miejscu płot autentyczny z nasadzonymi na żerdki garnkami przechodzi w malowany (s. 82).

Współcześni lwowianie, żeby obejrzeć Panoramę, muszą odwiedzić Wrocław.

Rozpoczynając ostatni rozdział swych dziecięcych wspomnień, Lem napisał:

Niewiele już pozostało mi do opisania, a cały tłum pominiętych przedmiotów domowych i ulic, którymi chodziłem, natarczywie domaga się jednorazowego choćby nazwania (s. 121).

Pisarz miał rację: nie sposób opisać całego uroku dawnego Lwowa nawet w najgrubszych książkach. Najdociekliwsze badania historyczne mogą tylko uchylić rąbka tajemnicy tych pięknych czasów sprzed ostatniej wojny. Pisząc wspomnienia o latach swojej lwowskiej młodości, Stanisław Lem chyba nie miał uczucia, że właśnie w tym momencie tworzył prawdziwy poemat ku czci znikającego powoli świata zupełnie innych wartości i obyczajów. Od czasów opisanych w *Wysokim Zamku* Lwów bardzo się zmienił. A jednak dalej zostaje miastem, które z całą pewnością można nazwać Lwowem Lema.

Dr **Andrij Kozyckij** jest wykładowcą w Katedrze Historii Nowej i Najnowszej Narodowego Uniwersytetu Lwowskiego im. Iwana Franki.